

BOHDAN WARCHAŁOWSKI

Seans spirytystyczny.

2

Otworzyła mu sama.

— Ach! Węć nareszcie przyszedłeś, „mon professeur! Przychodzę właśnie herbatę i musi mi pan pomóc. Jakże się cieszę, że będę mogła przeżyć ponownie te chwile z Louvre'u, gdzie tyle nowych myśli włożył mi pan do głowy.

Dyrektor, całując jej rączkę, doznał rozmarzającego uczucia kontaktu, jaki nawiązuje kobieta przez nieuchwytnie drżenie.

Wprowadziła go do malutkiego saloniku i wskazała obok siebie miejsce na sofie.

Na niziutkim okrągłym stolczku grzała się woda w elektrycznym imbryczku, a przy niej rumieniły się omszone brzoskwinie obok typowych paryskich „petits fours“.

— Musi pan wypić za moje zdrowie — powiedziała, a gorące tchnienie jej oddechu musnęło mu uś. Zadzwoniły wysmukłe kieliszki.

Rozmowa potoczyła się swobodnie. Annie wypytywała ciekawie, co robił w Paryżu. Gdy opowiedział jej zamierzonym kupnie majolik, poradziła mu, by trzymał się ostro, gdyż „Crédit General“ znany jest z kalkulacji wysokich zysków.

Po chwili nalała kieliszek powtórnie, naco Artur nie zaoponował. Dobrze mu było w tym dyskretnym saloniku w pobliżu pięknej, rozkwitłej kobiety.

— Zostawił pan, zapewne, w Warszawie ładną dziewczynkę, która nawet się nie domyśla, że jej *ami* jest na herbatce u samotnej pani... — szepnęła zniechęca takim tonem, że Artur uczuł drżenie w całym ciele i gorąca fala wzruszenia oblała mu twarz.

— Nie — odparł szczerze — Nauka zajmuje mnie wyłącznie, jednak dziś widzę, że to nie wypełnia życia.

— Jak to dobrze!

Okrzyk ten musiał się jej wymknąć niechcący, gdyż odwróciła głowę.

Spojrzał zdziwiony i zażenowany.

— Dlaczego?

— Dlatego! — zawołała głośno, i, nim mógł się spostrzedz, przywarła ustami do jego ust, a potem opłótła go pachnącymi ramionami i wtuliła się weń cała, dysząc ciężko.

*

— Sacrebleu! — zaklął Nat Bellow — Znowóż mokry! Parzą mi już zęby te francuskie tytonie!

Rozparty na fotelu w saloniku pani la Castelle, ładował krótką swą fajeczkę, popularnie nazwaną wśród marynarzy „brule geule“.

— Mów dalej Annie! Węć doszło wreszcie między wami do zbliżenia i to dość bliskiego, o ile sądzić można z wyglądu starego idjoty. Chodzi teraz z miną wniebowziętą po placu Inwalidów, zatrzymując się przed każdym sklepem jubilerskim. Niech tylko nie nadweręża swej kieszeni na niepotrzebne błyskotki. My wolimy gotówkę! Prawda, mała?

Roześmiał się głośno, ukazując dwa równe rzędy lśniąco białych, drapieźnych zębów.

— W banku ma czterdzieści tysięcy franków; i to coś znaczy, mój kotku. Jak widzisz, robię, co mogę by ci dopomóc.

— Bah! Najwyższy czas, by wynieść się z tych murów. Dusi mnie paryskie powietrze!... Nie myśl jednak, Annie, że nie chodzi mi o ten twój fikcyjny filrt. Nie doprowadzaj do ostateczności tych komedji.

— O czym myślisz, Nat?

— Trudno! Muszę wyraźnie mówić. Nie pozwolę za nic, by cię posiadał ze względu na te marne czterdzieści tysięcy, na które pluje!

— O to możesz być spokojny — odparła wyniosła pani de la Castelle, a jednocześnie ukłóła ją boleśnie wspomnienie scenki, która miała miejsce wczoraj w tym samym saloniku.

Spojrzała z miłością na siedzącego mężczyznę i uczuła w piersi rozkoszne drżenie podziwu i pożądania.

Piękną była ta twarz męska, spalona na brąz gorącymi passatami, rozjaśniona bliskiem nieokreślonych oczu, ziejących z głębi czaszki radością życia i energią. Znać na niej jeszcze bliznę od rany, zadanej płaskim sztyletem chińskiego kulisa gdzieś, w cdeglłym porcie Annamu. Kształtna głowa, osadzona na muskularnej, ruchliwej szyji — znamionuje potężną siłę ramion i doskonałe zdrowie młodego ciała.

Nat Bellow, kapitan niewielkiej brigantiny handlowej, krążącej po archipelagach oceanu indyj-

skiego, wydany został przed rokiem z marynarki francuskiej za szereg nadużyć i oszustw, które, dopóki nie stały się zbyt głośne uchodziły mu płazem. Niechętnie wspominał o tych czasach swej przyjaciółce, a ona wiedzioną zwykłą u kobiet subtelnością, nie wypytywała nigdy o te chwile burzliwe.

Do Paryża przyniosły młodego kapitana „złe konjunktury“, jak się wyrażał. Nie stracił jednak wskutek tego właściwego mu dobrego humoru i w przeciągu miesiąca zdołał przejechać cały zapas gotówki, jaki zebrał pod znojnem niebem zwrotników.

Annie poznał w jakimś dancingu i od jednego zamachu zdobył sobie kochankę, *pied à terre* i pomocnicę w przetrwaniu ciężkich czasów.

Wrażliwa pani de la Castelle przyłgnęła całem sercem do awanturniczego młodzika, którego bujna, żywiołowa młodość porwała ją w wiry beztroskiego życia. W przeciągu bardzo krótkiego czasu wyczerpał się cały zapas gotówki i para przyjaciół, by utrzymać się przy dawnej skali życia, zmuszoną została do chwycenia się dość śliskich źródeł zarobku. O tem, aby Nat wziął się do solidnej pracy, nie mogło być nawet mowy. Złe płatna i monotonna posada była dla niego czemś nie do pomyślenia.

Dłuższy stosunek z Natem spacył w zupełności i tak już nadwątlone poglądy etyczne kobiety. To też w danej chwili, roztaczając przed kochankiem nową konjunkturę, nie miała najniejszych wyrzutów sumienia.

— Ale co dalej? — podjęła po dłuższej chwili milczenia. — Pamiętaj, że ta sprawa powinna być załatwiona jaknajostrożniej...

— Już ja to urządzę, moja mała! Nie bój się! Nie nadarmo zwano mię na reidach szczywanym krokodylem:

Przyłgnął wargami do jej białego czoła i wyszedł, prostując ramiona krzepkie i śmiałe.

*

— Teraz proszę o chwilę milczenia.

Szorstki głos Nata Bellowa rozdarł brutalnie skupiony półmrok salki. W tym samym momencie niepozorny człowieczek o wybladłej, tłustej twarzy wydał z głębi piersi przeciągłe westchnienie. Oczy jego przewróciły się w tył czaszki, fosforyzując lekko białka zabłyśły niesamowicie w ciemności.

— Panie Lange, proszę liczyć wolno do trzydziestu. Medjum jest w silnym „transie“. Niech pan zaakcentuje każdy dziesiątek — szepnęła ponownie marynarz, i ujmując lekko przegub ręki medjum swą ciężką, męską dłonią, w skupieniu spojrzał na sekundnik zegarka.

Rozległo się teraz miarowe liczenie. Dyrektor wyteżył całą siłę woli, by nie okazać Annie swego wzruszenia i liczył płynnie, choć głos mu drżał.

Nastrój rósł, potężniał, Sześcioro ludzi, siedzących wokół stolika czuło z przerażającą dokładnością każde uderzenie pulsu. Podniesiona do góry ręka tłusciucha zawisła bezwładnie w powietrzu. Rozległ się histeryczny śmiech pani de la Castelle. Ścisnęła mocno rękę dyrektora, szepcząc:

— Teraz będzie coś strasznego!

Wokół stolika wzniósł się dziwny, mleczy opar załamujący się na konturach krzesel. Tajemnicza substancja, niepodobna do niczego, spotykanego w świecie trójwymiarowym. Niby to mgła płynna, pozbawiona ciężaru, lecz o zarysie twardym, zaznaczonym zdecydowanie.

Rozległo się febryczne dygotanie stolika. Drżał formalnie pod palcami.

Opar, jakby pod tchnieniem wiatru, uniósł się wolno na wysokość oczu siedzących i zkoncentrował w rogu pokoju. Zgmatwane kłęby układały się wolno, metodycznie, jakgdyby zamierzając wyłonić figurę zdecydowaną, zrozumiałą dla umysłu człowieka.

— Kim jesteś? — zabrzmiał donośnie i stanowczo głos Nata Bellowa.

Wargi medjum poruszyły się lekko, bezszelstnie. W dobrych parę sekund wypłynął z nich ledwo dosłyszalny szep:

— Frjoli... zdun... z Urbino...

Blaskawica przemknęła przez mózg Artura Lange. Możliwość obcowania z człowiekiem, który umarł pięćset lat temu! Człowiekiem, czy duchem którego dzieła, uwiecznione na włoskich majolikach z quattrocento stanowiły dla historyków sztuki do dziś dnia niewyjaśnioną zagadkę. Pod powłoką zewnętrznej nieudolności dyrektora obudził się fachowiec w każdym calu!

— Ja będę pytał! — rzekł stanowczo. — Pozwoli pan?

Marynarz skinął potakująco głową.

— W jakich fabrykach pracowałeś, mistrzu? Pytanie to zadał pod wpływem pewnego niedowierzania, które wkrađło mu się do mózgu.

Wargi medjum wyseplenity głosem, ledwie dosłyszalnym:

— Urbino... a potem... Faenza...

— Powiedz, skąd brali motywy ornamentacyjne garncarze włoscy?

— Nie wiem... To były stare bardzo stare wzory. Mówiono, że jakiś zdun wykopał w górach Kalabryjskich starożytne wazy o dziwnych, niezrozumiałych wzorach, z ytemi figurami, obnażonemi bezbożnie.

— Gdzie teraz przebywasz? — spytała Annie. — Czy możesz obcować z innymi duchami?

Zawarczał stolik, podniesiony niewidzialną jakąś mocą i runął z łoskotem w zamknięte drzwi.

Oczy medjum przybrały znów pozycję normalną. Nat Bellow wstał raptownie i zapiął marynarkę.

— Dosyć! Nic się już nie stanie! Czy do-wiedział się pan co ciekawego, profesorze?

— Właściwie... nic. Hipoteza o wpływie sztuki etruskiej na wzorach majolik średniowiecznych, znaną jest ogólnie. Spirytizm może w ten sposób rozjaśnić...

Annie wsunęła leciutko rękę pod ramię dyrektora i szepnęła głosem znudzonym:

— Idziemy już. Prawda?

Nat mrugnął do niej znacząco.

Wyszli na szklankę herbaty, do pobliskiej cukierni. Annie, wsparta lekko ramieniem dyrektora, szła wolno. Nat Bellow nasunął czapkę na czoło i włożył ręce do kieszeni obszernego angielskiego płaszcza, pogwizdując monotonny refrain jakiejś piosenki z Montmartre'u. Piosenka, córka paryskiej ulicy, dostrajała się świetnie do ciemnej otchłani równoległych murów i sylwetki marynarza.

Artur Lange czuł na swem ramieniu miły ciężar kobiety. Rozstrojone w chwili seansu jego nerwy wróciły już do normalnego stanu. Wrażenia niesamowitego wieczoru były jeszcze zbyt bliskie, zbyt bezpośrednie, by mógł się obecnie na niemi zastanawiać.

Prześladowały natomiast dyrektora myśli zgoła odmienne. Patrzył z ukosa na nonszalancką sylwetkę Bellowa i zachodził w głowę, co za stosunek mógł łączyć tego człowieka z Annie. Pewna siebie miła, głos o brzmieniu rozkazującym, a nade wszystko ruchy, ruchy niepowściągliwe, typowo marynarskie! Raziło to wszystko i napełniało niesmakiem uczonego, przywykłego do harmonijnych, a ułożonych pól i dyskretnego bezruchu młodzieńców przeszłości, uwiecznionych na zczerniałych arcydziełach dawnych mistrzów.

Annie, zapytana o Nata, odparła po prostu: „To mój kuzyn“. Nie wystarczało jednak takie tłumaczenie Langemu. Czuł on instynktem wytrawnego znawcy typów i ras, że tych dwojga nie może łączyć żadne pokrewieństwo. Węć co? W każdym razie nie miłość! Subtelna kobieta nie mogłaby gustować w sylwetce tak prymitywnej... jakiś drugi głos szepnął dyrektorowi poufnie: „Mężkie!“ — i znów rój wątpliwości zabrzęczał w jego głowie.

Weszli do lokalu, rozjarzonego światłem elektrycznych żyrandoli i zasiedli w niszy przy stoliku. Bellow zamówił herbatę i położył na stole papierośnicę. Annie pograżyła się cała w barwnym zeszytzie „La vie parisienne“.

Artur Lange obciął koniec cygara i zapalił. Warstwy dymu, kołyszące się leniwo w ciepłym powietrzu przywiodły mu na myśl niewytłomaczalną substancję — zmaterializowanego ducha średniowiecznego artysty.

Puścił wodze marzeniom, oparłszy głowę o poręcz fotelu.

*

— Frjoli, zdun z Urbino — dźwięczał cichy głos z tamtego świata.

Jak rój barwnych motyli zajaśniał mu w myśli rząd fajansowych cacek, w tawionych pompatycznie na szklanej czerni muzealnej gablotki. Talerze, obramione kolorowym szlaczkiem o prymitywnych, ornamentalnych postaciach, wymalowanych pośrodku, flaszki malutkie na wonności, toczono starannie, o glazurze tak mocnej, iż w przeciągu pięciu wieków nie zdołała się nawet zarysować, malutkie *bambino*, słoczek na masę o niewytłomaczalnym i niewygodnym kształcie, zbliżonym do szpulki nici. Długie lata mozołili się uczeni, nim odgadli, dlaczego właśnie upodobali sobie ten kształt majolikarzy średniowiecza. I wreszcie okazało się, że tradycję tę zachowano z czasów wojen krzyżowych. Pierwsi pielgrzymi do Ziemi Świętej przynieśli cudowne leki arabskie w laskach bambusowych. Poszczególne części tych laszek porozcinane w kolankach dały pierwowzór słoczek na masę, którego kształt w ciągu pięciu wieków nie uległ żadnym modyfikacjom. Tak! ludzie średniowiecza szanowali i czcili tradycję! Malutkie pomniczki przeszłości świadczą o tem najwymowniej.

(Ciąg dalszy nastąpi).